

O złej chemii znad Wisły (cz. 1)

■ W przestrzeni publicznej od pewnego czasu funkcjonuje termin „polactwo”. Właściwie nie wiadomo do końca, kto go wymyślił. Przypisywany jest mu zestaw pewnych cech krytycznych, odróżniających nas, Polaków, od innych. Określeniu temu poświęcono wiele artykułów i nawet książek, wśród których najbardziej znana jest autorstwa Rafała Ziemkiewicza.

Oskar Urbaniak

Z przyznaniem się do bycia częścią polactwa (kiedy próbujesz podjąć się analizy tego, czym jesteśmy i dlaczego akurat tacy) jest zupełnie jak z faza raka albo rozstaniem z kimś, kogo się kocha. Następuje pięć kolejnych etapów – zawsze i nieodwołalnie. Czasami jedynie może zmienić się ich kolejność.

1. Zaprzeczenie – w skrócie: niedopuszczenie określonego faktu do siebie.
2. Gniew i złość – gdy uświadamiasz sobie swoje położenie i wiesz, że nic nie możesz z tym zrobić.
3. Negocjacja – negocjujesz z „Siłą Wyższą”.
4. Depresja – poddajesz się, nie widzisz szansy, nie masz siły.
5. Akceptacja – godzenie się z losem.

Być może polactwo, które można odbierać jako zbiór przede wszystkim negatywnych cech, charakteryzujących nas jako naród, bierze się ze szczególnych uwarunkowań historycznych, sytuacji ekonomicznej i narodowych mitów wbijanych nam od podstawówki do głów. Z pokolenia na pokolenie przekazujemy sobie pewne schematy zachowań, a każde nowe z maniakalnym uporem je powiela. Zapewne każda nacja taki zbiór cech negatywnych posiada. Chociaż polactwo może być odbierane również indywidualnie, to zapewne cechuje je np. bezkrytyczne przekonanie o własnej racji i ogromny upór. Osobę, której zachowania zdominowane są przez owe polactwo, potocznie nazywa się Polaczkiem.

Dlaczego tak warczymy na siebie? Dlaczego sąsiad sąsiadowi najczęściej jest wulkiem? Jakże łatwo przekonać się o tym zwłaszcza poza granicami kraju. Od Bugu po rzekę Ural, od Antypodów po Bajkał – Polak Polakowi jest najczęściej wrogiem. Skąd bierze się ta chora chemia? Przecież powszechnie wiadomo, że gdzie dwóch Polaków, tam trzy opinie.

Dlaczego dzieje się tak, że jeżeli ktoś odrobinę się wyróżnia z tłumu, to najczęściej spotyka się z aktami agresji? Następuje dobrze znany scenariusz. Najpierw chcą cię bić, napier... później mieszkanię znad Wisły chce stawiać ci drinki w knajpie i, po zakrwawionym wstępnie nosie, następuje przysłowiowy „misiaczek”. Dlaczego u nas prawie zawsze



FOTO: FACEBOOK

wszystko musi być na takim wysokim emocjonalnym diapazynie? Jakby u Polaków mogło być tylko albo zimno, albo gorąco. Jest problem z umiarem na poziomie emocji, trzymaniu nerwów na wodzy, i nie tylko. Grunt, że wszyscy później spotkamy się w kościółku.

Hejterstwo w internecie to nasz sport narodowy. Chcesz się dowiedzieć jakiejś prawdy o danym narodzie (jego charakterze i duchu)? Po czytaj jego wpisy w sieci. Internet pozwala na anonimowość. Stwarza iluzję bezpiecznego odgroźnienia od rzeczywistości. Człowiek „pozbawiony twarzy”, buszujący w tym internetowym zbożu, przekonany, że to umożliwia mu całkowitą bezkarność, otwiera się i pisze wtedy, co naprawdę myśli. Podpis w necie, nawet pod informacją o czyjejś śmierci, ludzie wydawalioby się neutralnych niewykłanych w żadną politykę,

rodzącą zwykle konflikty (zwłaszcza w kraju, w którym każdy jest przeciw politykiem), wołają o pomstę do nieba. Otwiera się cała kloaka i wiadra pomyj. Zaczyna się doszukiwanie skaz w życiorysie, dziwnych powiązań takiego człowieka, wywlekanie brudów i domniemywanie win, jakby szacunek dla zmarłego był jedynie pustym frazesem.

Nasi rodacy z upodobaniem opluwają też szczególnie tych, którzy odnieśli jakikolwiek sukces. Zastanawiające jest, że Polak z pasją opluwa innych Polaków, a na przykład Anglików, Niemców czy Skandynawów opluwa rzadziej – być może w skutek bariery językowej, chociaż oczywiście z wypowiedzi wybija zwykle kiepsko ukrywane poczucie niższości wobec innych nacji, jakiś tajemny kompleks (choć tak już Francuzem „genetycznie” gardzi).

W filmie „Bogowie” jest scena,

w której mężczyzna oczekujący na przeszczep serca mówi: „Byłoby nie być pedałem lub Żydem”. Widziałem ten film w Nowym Jorku i tu, na festiwalu polskich filmów, wybrzmiało to szczególnie. Co takiego się dzieje, że zawsze (wcześniej lub później) wychodzi ten polski „metafizyczny wąs”? Nie potrafimy się po prostu lubić.

Niedawno natknąłem się w internecie na zdanie: „Polactwo jest zjawiskiem społecznym, którego koszty przewyższają koszty wszystkich chorób razem wziętych”. Przysłowiowego „Polaczka” (nie obrażaj się od razu, wyciągnij ten metafizyczny kolek z tyłka – w końcu tylko prawda nas wyzwoli) charakteryzuje kilka podstawowych cech: czerpanie satysfakcji z nieszczęścia sąsiada, nieufność do rodaka (szczególnie widoczna jest poza granicami kraju), przekonanie o własnej wy-

jatkowości (i własnej nacji – z którą, gdyby się bliżej przyjrzeć, w życiu tzw. codziennym kompletnie się nie utożsamia), nieuzasadniona niechęć do tzw. ziomali – rodaków, szczególnie jeśli się im w jakikolwiek sposób powiodło, oraz chęć udowodnienia sobie, że jest się lepszym od innych, i chęć pokazania otoczeniu, że ma się zawsze rację.

Wielu współczesnym odbiorcom mediów, zwłaszcza użytkownikom internetu przypisuje się chorobę naszych czasów tzw. lemingozę. Termin dość płynny, chociaż zainteresowani wiedzą, że chodzi tu o bezkrytyczne i bezrefleksyjne wchłanianie rzeczywistości i informacji, którymi karmią nas głównie TV i środki masowego przekazu. Pozbawioną myśli własnej konsumpcyjną postawę rodem z wielkiego mentalnego fast foodu, w wydaniu „mental – drive thru”. Otóż przysłowiowego leminga (swoją drogą to bardzo sympatyczne zwierzątko) nie interesuje nic poza jego własną, pozbawioną celów wyższych egzystencją, którego kółeczko życia obraca się według schematu; najęść się i spać (w wydaniu ludzkich lemingów dodatkowo poudawać, że się pracuje, żeby jak najszybciej zaliczyć społeczny awans, „nachapać się” i np. pojechać na wakacje w jak najmodniejsze miejsce, zaliczyć „ślitaśne focie na fejsie” z kurortami w tle, z dwoma tygodniami kompletnej alkoholowej poniewierki, upodlenia się w rytmie „all inclusive”. Wystarczy dodać do tego wrodzone działanie jak reszta stada (wskutek wyjałowienia indywidualizmu – wpajanego nam od podstawówki) i bezmyślne podążanie za resztą lemingów, idących na brzeg wysokiego klifu. Indywidualizm sierpem i młotem sukcesywnie wycinała z nas „czerwona zaraza”, chociaż i zamiłowanie do indywidualizmu (to znane polskie – niewystępujące praktycznie nigdzie indziej – liberum veto) też doprowadziło do skoku w przepaść. Był to bilet w jedną stronę do przystanku pod nazwą rozbiór Polski.

Przysłowiowego Polaczka interesuje przede wszystkim polityka (od której jest oczywiście specem), jak i prywatne życie ludzi z jego najbliższego otoczenia. Cechuje go wścibstwo – musi znać fakty z życia swojego sąsiada po to, żeby w głębi ducha najczęściej udowodniać sobie, że w jakiś sposób jest od niego lepszy, i gardzić nim skrycie. Największe zadowolenie sprawia mu porysowany samochód owego sąsiada (niech tylko nie będzie lepszej marki niż jego). Z satysfakcją życzyliwie złożyć anonimowy donos, gdy wywiesz, że żona owego sąsiada ma jakiś romans. Do niego będzie się najczęściej uśmiechać i „najserdeczniej” podawać mu rękę na niedzielnej mszy, chyba że wpadnie w otwarty i nieskończony konflikt rodem z Kargula i Pawlaka o jakąś kompletnie nieistotną pierdołę, gdyby jej się bliżej przyjrzeć, ale w swojej nienawiści będzie zapiekły do końca. ➤ **STR. 22**